

Jan Sztadynger.

### Don Kiszot i Mefisto.

Zmagam się nadaremno  
Ze sercem mojem,  
Bóg nie jest ze mną,  
Samotny stoje.

Oplakuję w krwawych łzach,  
Sen, który dawno skończył;  
Rzeczywistości tragiczny łań  
Tule w ramionach.

Don Kiszot i Mefisto  
Siedzą w karczmie i piją,  
Przez okna — szybę wybitą  
Zagłada ślepy Rossynant.

Kłócą się z sobą zażarcie  
Don Kiszot i Mefisto —  
Przy drodze w żydowskiej karczmie  
O rzecz nierzeczywistą:

Co gorzej duszę nawiedza  
I co jest większym męczeństwem:  
Czyli zupełna wiedza,  
Czyli zupełne szaleństwo?

Patrzy na nich Rossynant  
Pomroką niewidnych ślepi,  
Nie umie odpowiedzieć  
Co z tego byłoby lepiej.

Mieczysław M. Wojtaszewski.

### Ojciec.

Znojne były dni  
i nie było radości  
dancingów; —  
chylili się plecy, —  
praca latami gnioła,  
żeby syn kiedyś  
mógł chodzić  
w lakierach  
i smokingu.

## Odprawa krzykaczom.

Program literacki, o ile ma być kierunkiem, a nie modą, o ile ma być trwałym i przeorać głęboką bruzdą karty historii literatury — taki kierunek literacki musi być stworzony przez życie, a nie przez żadne sensacje i reklamy umysły ludzkie. Dlatego nie mamy zamiaru tworzenia ogródka, otoczonego kołczastą, nieprzebytą barjerą. Otwieramy naścieżaj serca wszystkim przejawom życia i wyciągamy dłoń do braterskiego uścisku ku wszystkim, którzy niosąc z sobą wartości twórcze, zechcą razem z nami stanąć do pracy. Każdy będzie nam drogi, krom krzykaczy, pozerów i autoreklamiarzy. Lecz kilka mamy zastrzeżeń:

Bezwzględnie są uam obce reklamarskie, wykwitłe na lodygach bezwstydnej zarozumiałości i znarowienia — manifesty. Fabrykuje się je bez poczucia odpowiedzialności, na kolanie. O tym nerwowym pośpiechu, świadczy wybitnie głośnienie manifestowym tonem, z nieświadomością logiki. Ostatnio, ukazał się właśnie taki manifest w formie nadzwyczajnego wydania dziennika. Wzoru tego systemu nie trzeba daleko szukać. Jest to nawiązanie do tradycji manifestów, wydawanych przez „obłąkanego“, a tak popularnego w naszym mieście „Cezara“. Zatem forma nie nowa. A treść? Autor narzuca się z nią nie pierwszy już raz, autor, chorujący chrończnie i, zdaje się, nieuleczalnie na wielkość, przyczem pielęgnuje swoją specjalność: dziecinne ignorowanie publiczności. Nieszczęśliwie doradza poetom, wyzbyć się światoburczych manij, a w wierszu o Halinie, (znanym zresztą od kilku lat) wymaga, aby śmierć córki robotnika Żywiołka wstrząsnęła całą Polską, a nawet całą

Europą. W Pieśni o Ojczyźnie wola autor: „Zamalo mostów... Stwórzmy nowe rzeki“ Takich nonsensów możnaby przytoczyć więcej.

Nie, czeigodny autorze! My nie będziemy pisać o wyborze pana Prezydenta i wypłynięm oku Haliny, córki Żywiołka, bo na wierszowane kroniki nieszczęśliwych wypadków nie starczyłoby nam ani czasu, ani papieru.

Na podobne praktyki mamy jedną odpowiedź: Krzyczcie i ośmieszajcie się w dalszym ciągu, my zawsze stajemy do pracy w zwartym szeregu. Przestańcie ławić się w nowych nauczycieli. Mamy swoje mózgi i swoje serca. Wasze lekcje i „przykłady pięknego śpiewania“ nas zbalałamucie nie zdolają.

I do nas także Polska przemawia. Ale przemawia nie tylko nerwowem tętnem fabryk, nie tylko cielskami mostów, lub wyborem pana Prezydenta, — ale płynie do nas również z wonią polskich pól, ze szumem chlebobajnych kłosów zbóż, krwawi nam serca nędzą opuszczonych i skrzywdzonych, rozpiera nam piersi rozkoszną świadomością rosnącej z dnia na dzień potęgi, wykuwanej spracowanemi rękoma w czarnych, jak noc, sztolniach kopalni, w piekle hut, w nędznej salce szkolnej, pełnej drobnej dziatwy i przy szewskim czy blacharskim warsztacie. Wszystko to kochamy. Wielbić będziemy polską ziemię i polski twórczy trud, bo niema Polski bez ziemi i niema Polski bez trudu.

Idziemy w pełne miłości i hartu, w napęczniałe radością, słoneczne jutro Polski.

Stanisław Kaszycki.

### Rozpowszechniajcie „ANTENĘ LITERACKĄ“!

Włodzimierz Mihal.

### Szept księżyca.

Upij się, synu, mem światłem  
drżącym i chwiejnie pierzchliwym — !  
Nie bój się! Staniesz się wiatrem,  
co z każdym igra przedziwem.

Upij się moją światłością,  
sennych uludą otęczy...  
Nie bij się! Zaproś Kłam w gości,  
bo Prawda, Prawda cię dręczy.

Upij się memi blaskami  
w strasznych dopełnień godzinie:  
staniesz się twardy, jak kamień,  
kłątwa przywiązań cię minie.

Upij się! — Białe znam cisze,  
uroki dziwnych nabożeństw:  
w chmur czarnych kapturze, mniszy,  
nad Wielkiem schylam się Morzem.

Pij... i... na śmierć się mną upij!  
Od innych — wara upojeń!  
Bezplodnych moich gór łuki —  
mroźnem królestwem są twojem.

Wincenty Hlouszek.

### Wspomnienie.

Wiedzie mnie szara ścieżyna;  
Nad rzeką chodzę i dumam —  
Melodja fal jest dziś inna,  
Choć plomień słońca nie umarł:  
Choć nie zgasł w palcach obłoków  
Amarantowy strzep róży.  
Choć wiatr na polach, daleko,  
Zmęczone skrzydła położył.  
I choć jest cicho, jak wtedy,  
Gdyśmy oboje dumali —  
W różowej lusce seledyn  
Skalistym brzegom się żali.  
Jakiś westchnienia i szepty.  
Brzmią jakieś słowa najszersze:  
W klawiszach fal — poety  
Lzy — śpiewające wierszem.

## Giolda na Parnasie.

Amerykanizacja i ordynarny „business“ weiska się wartką strugą mętów nie tylko w życie potoczne, nie tylko do biur i kantorów, ale nawet do prasy i, co gorsze — do literatury. Jeżeli poeci „Skamandra“ i ich bracia sjamscy prześlą atmosferę interesu — to nie dziwnego. Ich autoreklamiarstwo, podszyte pod atlasowy dywan sztuki, jest rasowym wykwarem specyficznych właściwości etnologicznych tego środowiska, z którego wyrosli i, które ich wychowało — na uzdólnionych i wysoce utalentowanych sprzedawców swego pokupnego artykułu.

Nie chodzi mi tutaj specjalnie o wyżej wymienionych, którzy i tak bankrutują, jak to stwierdza szczerze „Głos Literacki“, ale boli mnie niezmiernie fakt, że zgubny wpływ ich oddziaływania na młodą polską generację literacką może doprowadzić do obrzydliwego wykrzykiwania cen własnej wartości przez twórcę, co jest podobne do procederu prostytutki, czy prostracji duchowej. Tak jest w Warszawie i tak jest w Krakowie. Śmierdzące ulicznictwo w poezji starają się niektórzy rozprószyć delikatnym prysznikiem kolońskiej wody tego, co się nazywa dobrym tonem, modą, czy też pseudokierunkiem literackim i twierdzą z całem dobrodusznem przekonaniem, że tylko oni są powołani do wartościowania, że tylko oni mają rację w sprawach, obracających się dookoła sztuki, co wyłącznie do nich należy, jak niewątpliwy dogmat. Śmieszne! — Tan-deta, co chce grać światłami sztucznie wytworzonej reklamy, jak fałszywe perły, pragnie hipnotyzować społeczeństwo. Ale czym? — W każdym razie nie prawdziwą

artystyczną wartością, bo ta nie polega na krzykliwości kolorów, ale na prawdziwym umiarze klasycznego piękna.

Dziś o wartości poezji sądzą ludzie, którzy sami kiepsko piszą; dziś o przeoroście metafory wygłaszają przez radio prelekcje ludzie, którzy sami ją w swoich utworach na gwałt forsują, nie zdając sobie bynajmniej sprawy, czy jest ona istotną, czy posiada artystyczną prawdę. (Pauperyzacja! Pauperyzacja!) Naturalnie wyobrażają sobie naiwnie przytem, że za 50 lat świat będzie jednym olbrzymiem miastem, w którym strzelać będą reflektorami kurki elektrycznych świateł, jak ogromne jupitery — i już dzisiaj mówią o swem wieszczem posłannictwie. (sie!)

Tego rodzaju psychoza „miłości społecznej“, opiętej w „popielaty sweter“ obrony wartości i poziomu literatury, zaraziła nawet poważne organizacje literackie. Trudny bowiem jest do wytłumaczenia fakt, rażący, jak krosta na delikatnym zamszu kobiecego ciała, że w gronie wybitnych ludzi talentu, znajdują się jednostki, które blaznują, jak marionetki, pociągane za sznurek poży literackiej, które mogą być czemś i mogą zabierać głos w poważnych sprawach, ale dopiero w przyszłości i po uprzedniej nauce grzecznego wychowania i dobrego taktu. Ale teraz? Dziś? I to oficjalnie? — Nie! To naprawdę skandalik, który tylko przynosi kompromitację tym ludziom w opinii zdrowo myślącego społeczeństwa, które przecież nie może brać na serio wystąpienia niedowarzonych poetów, faworyzowanych przez tępiące i zdeorientowane w tych sprawach redakcje prasy codziennej. Roz-

palone lby uprawiają dziś grube korsarstwo tak w krytyce, jak i w poezji pod banderą najrozmaitszych „izmów“, popielając tylko szereg idyotyzmów, a tworząc najwyżej „burzę w szklance wody“, jak się do tego wyraźnie przyznał jeden z owych „izmów“, któremu tutaj słodko zaznaczamy, że „przyszłość należy wprowadzić do wielkich“, ale tylko... mądrych, nigdy zaś do ludzi o skrzywionym rdzeniu pacierzowym pojęć na istotę i wartość sztuki.

Na zakończenie jeszcze jedno. Daleki jestem od szkalowania kogoś, ale mnie pasja bierze, patrząc na wypadki, które mają chorobliwy objaw gorączki ludzi, którym się pali grunt pod nogami! Oznacza to bowiem nie innego, jak tylko koniec tej poezji, która w pogoni za formą zaplątała się w gwarze współczesnego życia i nie może go teraz wtłoczyć w ramy, które stworzyła poza niem i bez jego współdziałania.

Teofil Kowalczyk.

STANISŁAW KASZYCKI.

### BÓL.

Ból cichy — a palący, niby dłoń chłopca,  
Co się zwarły nad z gniazda skradzionem pisklęciem,  
Przeszył serce, jak włócznia, której litość obca —  
Jak palców trędowatych zabójcze dotknięcie.

Cicho dzisiaj jest we mnie, gdyby w czas pogrzebu,  
Kiedy nie chce się płakać, a lzy w oczach pieką —  
Kiedy niemoc człowieka uskarża się niebu...  
I dudnią grudy ziemi o trumienne wieko.

I niema we mnie żalu — niema nienawiści.  
Jeno serce, jak klejnot z świętego pierścienia  
Zapadło w stos zamarych, podeptanych liści,  
Blask stłumiło w rozkosznych szczytach utajenia

I niejedną raz jeszcze bzy się zazielenia.  
Wiele jeszcze czas rzuci zjadliwych ukąszeń.  
Aż serce, jako owoc dostały jesienią,  
Napęcznieje do syta bólem, niby miąższem.

Wreszcie kiedyś zakwitnie biała niespodzianka  
Ostaną wielką łaską Bożej encykliki...  
Serce moje otuli ostatnia kochanka  
W ciszę wieczną, jak w chustę świętej Weroniki.

JAN KAZIMIERZ ZAREMBA.

### GRUDZIEŃ.

W grudniową, srebrzyście chłodną, szorstką od mrozu, pogodę  
Wychodzę z pola samotny, strudzony pracą gospodarz,  
Gorączka żniwnych upaleń w sercu przygasa i chłódnie,  
wiatr ją rozwiewa chłodliwy w tężowe szronem południe.

Jeszcze dygocą me ręce i żadne brudu ramiona,  
nad ziemią bryla błękitu na twardy kryształ stężona,  
Zwolna zeichają krwi tętna, pulsy przestają łomotać,  
rola zawarła się mrozem, jak zryta bieda twarz chłopca.

Rosnę w stalowych ozimach, twardych od mrozu rozbłyskach,  
narastam w krzepę i hardość w lodowych zimach uściskach.  
Szeptę, że już niedługo gruda od żaru roztopione —  
Święta gorączka tworzenia rozpali twarde me dłonie.

ZENON KOTERBA - DZIUBAN.

### O TEM, JAK MODLIŁ SIĘ BEZ.

W złotym ogrodzie jesieni, pogasły jabłka — słońca  
i pustka wisi na drzewach, szarością oczy męcząca.  
Tylko płot, sztyldwach wytrwały, bagnetem sztachet wiatr straszy,  
a bez wymadla wiosnę, szeptem liljowych ojczenaszy.

Czasem, w jasnej hołobli radość przez wieś przejedzie,  
kiedy dniami syty zachód idzie pogwarnie przez miedze,  
a za domami, w półśnie wieczornym doliny,  
śmieją się oczy tarnin i usta jarzębiny.

Ale już wnet się pola rozjaśminia śniegiem  
i blaszkami naledzi zaplaczą drzewa w lesie.  
Białym mrozem zakwitną na szybach od wschodu,  
prymitywne witraże z słońca i sopli lodu.